№ 24. Warszawa, dnia 30 Maja (11 Czerwca) 1887 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*



## Józefa Lukas.

W Anglii w Sunderland niejaka pani Józefa Lukas, podniosła myśl wielkiej doniosłości rozwijając ją z całem poświęceniem godnem jej ważności.

Jest to osoba małego wzrostu, wątła, delikatna, z bujnemi lokami siwych włosów okalających inteligentną twarz pełną szlachetnego wyrazu. Fizycznie uważając, zda się że to istota słaba, że ją lada wietrzyk uniesie i przerzucać będzie jak liść uschnięty i z drzewa opadły. A jednak myśl co z jej ducha wybiegła wyrosła w olbrzyma, którego mocy nic niedorówna.

Sunderland jest to miasto nadmorskie, mające około stu tysięcy mieszkańców i w części starej uliczki wązkie, brudne z nędznym niezmiernie pozorem. Po tych zaułkach zamieszkałych przez roboczą ludność, pani Lukas czasami błąkając się, spotykała pijanych ludzi z odrażającą postacią, przedstawiających w całej ochydzie moralny upadek człowieka. To zwróciło jej uwagę, zaczęła rozważać, zastanawiać się, badać przyczyny i następstwa i w tym ciągłym wewnętrznym myśli swych procesie, przyszła wreszcie do przekonania, że brak oświaty główną jest przyczyną złego a trunki spirytualne trucizną, którą ludzkość przez ciąg lat długich ciągle trując się w stosunku do naszych praojców doszła do zupełnego upadku fizycznego a z nim i do moralnego.

Żeby więc podnieść oświatę a obudzić wzgardę do napojów spirytualnych, zaczęła w Sunderland przemawiać publicznie zalecając wstrzemięźliwość, i urokiem słowa gromadząc tysiące słuchaczy, wywierała na nich wpływ prawdzie czarodziejski.

Pijaństwo zaczęło się zmniejszać, pijanych tacząjących się po zaułkach ulicznych coraz rzadziej spotykano, zacna apostołka rosła w powagę a na zapowiedź jej występu coraz większe gromadziły się tłumy.

Gdy w czarnej, skromnej sukni zobaczono ją wchodzącą na trybunę, sala cała przepełniona słuchaczami zawsze, zawrzała hukiem oklasków a zaraz potem następowała cisza, jakby sala nagle opustoszała.

Zwykle wykład swój rozpoczynała głosem umiarkowanym, jakby myśl zapuszczała w głąb ducha i ztamtąd czerpała natchnienie. Pomału głos jej podnosił się, nabierał brzmienia coraz donioślejszego, policzki z natury blade czerwieniły się, oczy tryskały blaskiem niezwykłego ożywienia, postać cała choć wątła, potężniała, zdała się podrastać, a gdy wzruszona do głębi z rękami podniesionemi w górę, poczęła zaklinać słuchaczy, by dla szczęścia własnego, dla dobra dzieci i całej ludzkości, wreszcie dla potęgi ojczyzny i jej sławy, przestały pić trunki spirytualne, to wówczas zdawało się, że przemawiająca zaczyna się oblekać wanielską urodę dziwnego powabu, i uleci z ziemi w niebieskie nieba sfery.

Sława wymownej apostołki wprędce zaczęła rozbrzmiewać po za murami Sunderlandu, prośby ze wszystkich stron posypały się o publiczne mowy w interesie wstrzemięźliwości, i te tak powszechne obudziły zajęcie, że dziś w Anglii, w Szkocyi i Irlandyi, nie ma prawie jednego większego miasta, w któremby przynajmniej jeden raz nie przemawiała.

I jakież z tego korzyści odniosła społeczność angielska?

Ogromne, nieprzewidziane!

W społeczeństwie angielskiem, powiadają gazety, od pewnego czasu dokonywa się acz powolna ale ciągła przemiana obyczajowa. Anglicy ze spirytualiami nadzwyczaj zbratani, wynalazcy najsilniejszych trunków jakich wyrób możeby nikomu nie przyszedł do głowy, przestają pić i coraz więcej bratają się ze wstrzemięźliwością. Skarb państwa corocznie wykazuje znaczny ubytek w dochodach z akcyzy a najbogatsi nawet gorzelnicy, piwowarzy i dystylatorowie, zamierzają zamykać swe

fabryki i zwijać zupełnie interes. Przekonano się bowiem, że w ciągu lat ośmiu niespełna konsumpcya spirytualii zmniejszyła się o szóstą część dawniejszej cyfry, i że na 36 milionów mieszkańców zjednoczonych królestw, już pięć milionów związało się w stowarzyszenia wstrzemięźliwości i wyrzekło się trunków bezwarunkowo.

Zwrot ten tak pomyślny, widoczny w klasach średnich, ogarnął obecnie i wyższe, tak dalece, że nawet przy parlamencie salon napojów spirytualnych coraz mniej ściągając ochotników wyludnia się, a salon z herbatą coraz więcej gości wabi do siebie. Następstwa te tak zbawienne, wywołała jedynie umiejętnie zorganizowana propaganda poczciwej i rozumnej myśli, podniesionej przez słabą kobietę.

Praca jej po za obrębem Sunderlandu już trwa rok ósmy, od chwili gdy czworo dzieci mogła oddać na naukę do instytutu publicznego. Przez pierwsze trzy lata przemawiała bez żadnego wynagrodzenia, ale mnożące się ciągle wezwania tak ją całkowicie zajmowały, że jako niezamożna musiała żądać zapłaty.

Pani Lukas jest tak przejęta wiarą w szkodliwość używania spirytualii, że nawet wątłość swego organizmu przypisuje używaniu trunków przez swych przodków.

Być to bardzo może, upadek ludzkości pod względem fizycznym jest widoczny: czynników szkodliwie tu działających może być wiele, ale że zbytnie rozpowszechnienie spirytualii należy do najważniejszych, to zdaje się nie ulegać wątpliwości.

— Zdrowie nie służy mi bardzo — powiada sama pani Lukas — lecz nie poddaję się i nieraz mam tyle siły, że mogę nietylko codziennie przemawiać z katedry, ale nawet dwa razy na dzień i to po dwie godzin co i najsilniejszego znużyć może i wyczerpać.

Pokazuje się, że potęga ducha jest cudowną i niespożytą, jakże można siły mu zaprzeczać a i bytu samego odmawiać, że go zmysłami ni dotknąć się, ni badać niemożna!

*J. K.*

---

## PORÓWNANIE.

Tyś u wiosny wrót zaledwie,
Ja już dążę ku jesieni:
Już nie ten sam blask promieni,
Dziś oświetla nas obiedwie.

Nie te same nam obrazy,
Przesuwają się przed okiem,
Ja na słońcu widzę skazy,
A ty chmurę zwiesz obłokiem.

Ty gdzie spojrzysz, masz przed sobą,
Same jasne firmamenty:
Dla mnie świat ten zasłonięty,
Mgłą zwątpienia i żałobą...

Więc gdy obok siebie staniem,
Zapełniajmy serc skrytości:
Ja dla ciebie pobłażaniem,
A ty dla mnie... łzą litości!

*Emilia.*

---

# ODNALEZIONA.

POWIEŚĆ

## Golo Raimunda.

PRZEKŁAD

Karoliny Szaniawskiej.

(Dalszy ciąg.)

Pracował nad tem całą duszą, pośpieszał nie żałując trudów, lecz zanim wszystko zostało ukończone, nadszedł list donoszący o śmierci dziadka: Erwin opóźnił swój wyjazd.

Tę smutną wiadomość przysłała mu tu ciotka, dla której nie żywił nigdy zbyt wielkiej sympatyi, chociaż mu jednak nie dokuczyła nigdy w życiu, jak wuj rodzony brat ojca. Będąc przytem tak młodym, bo zaledwie dziewiętnastoletnim chłopcem, nie miał sposobności ocenić jej charakteru, tak jak rozumiał usposobienie i przywary wuja, z którym musiał żyć w bliższych stosunkach.

Pani von Merzdorf napisała do Erwina bardzo serdecznie, prawie po macierzyńsku, mniej więcej w tym sensie, że kółko rodzinne ścieśnia się coraz bardziej, należy więc zapełnić luki, które śmierć uczyniła. Do tak serdecznej epistoły załączyła kopię testamentu, który właśnie otworzono, objaśniając w przypisku, że przyczyną ruiny majątkowej nieboszczyka, po którym nic się nie zostało, były ryzykowne spekulacye, jakie prowadził w ostatnich latach przed śmiercią.

Erwin uśmiechnął się z goryczą.

Nie przypuszczał nawet, by ten stary, zacofany szlachcic uległ kiedykolwiek w życiu modnej chorobie, jak nazywał spekulacyę, od której według jego zdania, broni człowieka niebieska krew płynąca w żyłach.

Spekulacyami w których topniała magnacka fortuna był zielony stolik, wywierający od lat piętnastu magiczny wpływ na nieboszczyka majora, a ciężkie czasy, to nic innego, tylko nieopatrzny rozrzutny tryb prowadzenia domu.

Wybaczył ciotce jak najchętniej, że nie chciała oskarżać swego męża, a smutna konkluzya listu nie zmartwiła go ani trochę.

Prezes nie zdążył nawet zmienić testamentu, napisanego pod wpływem rozdrażnienia, po ucieczce wnuka, którego wydziedziczył bez litości.

„Uczynił to pod wpływem gniewu, pisała ciotka, ale przed śmiercią pogodził się z tobą zupełnie i my powinniśmy nadać jego uczuciom właściwe znaczenie. Podzielimy się z tobą tem co po dziadku zostało, jak dawniej za lepszych czasów, donieś nam tylko kiedy przyjedziesz po niewielki spadek, lub gdzie ci go odesłać należy."

Był to ze strony ciotki krok nader śmiały, lecz udał się i pani Mersdorf zyskała nim bardzo wiele. Jak było do przewidzenia, Erwin przyjęcia spadku odmówił, lecz bardzo serdecznie podziękował ciotce za jej dobroć, uszanowanie rodzinnych związków i bezinteresowność.

Gdy jednak pani von Mersdorf odezwała się powtórnie z nieśmiałą prośbą by zamierzoną wizytę poświęcił jedynej ciotce i przybył do miejsc, w których będzie zupełnie jak u siebie, zobaczy rodzinne strony i dawno niewidzianych przyjaciół, serce Erwina ogarnęła niezwalczona tęsknota.

W czasie długiej podróży wrażenie listu osłabło wprawdzie trochę; rozważył w myśli, że nie spieszy do ukochanych osób, pomimo że serce do nich się wyrywa, lecz ci ludzie okazali mu życzliwość zupełnie bezinteresowną, o czem wątpić nie ma prawa i odpowiedzieć na nią jest jego obowiązkiem. Chcąc mieć od nich coś więcej niż prostą życzliwość, należy poczekać, a może i to kiedyś nastąpi.

Niektórzy tylko krewni pozostali dotychczas w jego pamięci, innych śmierć wydarła, drugich nie przypominał sobie wcale. Dwaj pozostali synowie ciotki byli dziećmi gdy wyjeżdżał, a mała Hortensya lalką się bawiła.

Jeden tylko dzień drogi oddzielał go już od miejsca urodzenia, nie spieszył się jednak, nie było mu pilno i postanowił rozejrzyć się po pięknem portowem mieście, na które przed laty piętnastu, uciekając jak zbrodniarz, zaledwie przelotne rzucił spojrzenie.

Wsparty o okno wyjrzał na ulicę. Była wązka, zacieśniona, tylko frontowa część hotelu wychodziła na dość obszerny rynek. Pogodny, jasny dzień jesienny wabił go przemocą z ciasnego mieszkania i pomimo, że zmierzch już zaczął zapadać, postanowił przejść się po mieście. Już miał ująć za klamkę, gdy ręka bezwładnie opadła mu ku ziemi.

Tuż obok, w sąsiednim pokoju, ktoś nucił piosenkę, prostą ludową, którą on, przed laty śpiewał z przyjaciołmi; melodya niesłyszana przez czas długi pozostała mu żywo w pamięci. Stanął jak w ziemię wryty i słuchał z bijącem sercem, tamując oddech w piersi. Ogarnęło go uczucia nieopisanego rozczulenia, przymknął oczy, w których ukazały się łzy.

Jak gdyby wywołane dotknięciem czarodziejskiej laski, stanęły przed nim jasne, słoneczne dni młodości, pełne wiary i nadziei, wysokich celów, śmiałych planów, od których nabrzmiewało mu serce i płonęła głowa.

Jakże był wówczas odważny i dzielny, jak wierzył w przyjaźń i do poświęceń czuł się zdolnym...

Pieśń płynęła z młodocianej piersi, głos był miękki, dziwnie sympatyczny dla ucha i Erwin szczerze żałował, że ktoś wszedł do pokoju i przerwał piosnkę. Wrócił, sam nie wiedząc po co, położył kapelusz i siadł na sofie przy drzwiach.

Jeżeli spodziewał się, że śpiewaczka rozpocznie na nowo, nadzieja go zawiodła, gdyż słyszał tylko przyciszoną rozmowę, z której nie rozróżnił ani jednego wyrazu.

Po chwili jednak zabrzmiał wyraźniej srebrny sympatyczny głos śpiewaczki.

— Nie, nie, Sabino, ty nie możesz podróżować w nocy. To niepodobieństwo, kto ma lat sześćdziesiąt potrzebuje snu i spoczynku. Nie probuj przekonywać, bo się rozgniewam. Ja tak chcę, czy rozumiesz?

Tamta, sześćdziesięcioletnia, odpowiedziała słów kilka, których jednak Erwin nie mógł dosłyszeć, potem znowu odezwała się śpiewaczka.

— Tak, ja wiem, lepiej byłoby wyjechać w nocy, lecz wolę żebyś wypoczęła. Idź spać, moja staruszko i bądź łaskawą zostawić mnie w spokoju. Tymczasem, postaraj się, bym nie potrzebowała schodzić na herbatę i każ ją tutaj przynieść.

Sympatyczny głos śpiewaczki, który obudził w nim tyle przyjemnych wspomnień, zainteresował

go do najwyższego stopnia. Żałował więc bardzo, że młoda osoba nie ukaże się w ogólnej sali.

Cisza zaległa pokój, straciwszy nadzieję usłyszenia śpiewu, Erwin postanowił przejść się po mieście. Poczekał jeszcze chwilę, a potem wyszedł. Zapytał numerowego o panią, która zajmuje sąsiedni pokój, lecz i tu spotkał go zawód, gdyż przybyła ona ze starą sługą zaledwie przed dwoma godzinami i dotychczas nie zapisała się w książce.

Musiał więc czekać do dnia następnego.

Ruch panujący w mieście rozerwał Erwina, nadając jego myślom zupełnie inny kierunek, błąkał się po ulicach przez parę godzin, nareszcie prawie bezwiednie, wstąpił do teatru. Grano Don Juana, a wspaniały śpiew primadonny zaćmił wspomnienie tajemniczej sąsiadki.

Późno już było, gdy wrócił z teatru i zasiadł do kolacyi, i gdy po północy szedł do swego pokoju, wszyscy już spali, głęboka cisza zaległa gwarny hotel.

Erwin czuł się dziwnie znużonym. Wrażenia jakich doznał na ojczystej ziemi, obudziły tysiące wspomnień i poruszyły go mocniej niż mógł się spodziewać. Położył się natychmiast, poczem zasnął niezwłocznie twardym snem młodości i zdrowia.

Była zaledwie druga lub trzecia po północy, gdy silne stukanie pięścią we drzwi, zbudziło go z ciężkiego snu bez marzeń.

W jadalnej sali wybuchnął ogień, służba potraciła głowy a w popłochu zapomniała o kranach gazowych, które zakręcić należało, zaraz też zajął się i korytarz pierwszego piętra, nim zdołano obudzić wszystkich gości.

Powstało straszne zamieszanie. Zerwawszy się z łóżek, wszyscy cisnęli się ku drzwiom, z kuframi, torbami i torebkami, aby tylko dostać się na schody mocno już zagrożone. Krzyki, wołania, prośby i groźby krzyżowały się naprzemian, tworząc niezmierny zamęt.

Erwin obudził się prawie ostatni, lecz zmiarkowawszy co się dzieje, nie tracąc przytomności ubrał się natychmiast. Włożył papiery i pieniądze w torebkę, którą zawiesił przez ramię i nie myśląc o kufrze z rzeczami, usiłował wydostać się na zewnątrz. Tylko gospodarz i jeden z kelnerów przytomności nie stracili, zajęli się natychmiast ratowaniem gości z wyższych piętr hotelu i zarządzili wszystko jak najlepiej, chociaż niełatwo im to przyszło, zwłaszcza z osobami, którym strach zmysły pomieszał i raczej zginąć niż ratować się chcieli.

Tymczasem, straż nadjechała, puszczono w ruch sikawki i starano się o ile możności, umiejscowić ogień.

Na schodach panował upał niesłychany, dym i ścisk tłoczących się osób utrudniał ratunek. Gdy goście się rozeszli, zaczęto znowu wynosić kufry i walizy, a potem meble. Szczególniej w wązkich korytarzach, przejść było niepodobna. Zaczęto więc wynosić przez okna po drabinach, wszystko co jeszcze zostało w hotelu.

Lecz i tutaj nie było głowy, nikt nie kierował ratunkiem, wyrzucano raczej co się dało czyniąc nie małe szkody.

Na ulicy otoczonej przez straż i wojsko, walało się mnóstwo połamanych mebli, poduszek, sukien i kufrów, z których poodrywały się zamki a ledwie połowa zawartości ocalała.

Dnieć zaczynało, gdy straż stłumiła ogień. Dzięki nadmiernym wysileniom, nie dano mu rozszerzyć się dalej. Tylko salon jadalny i kilka przyległych pokoi szkodę poniosło. Lecz hotel był pełen dymu i wody, ani podobna tam powrócić, należało szukać innego pomieszczenia.

Nazajutrz rano, w zarządzie policyi, każdy z poszkodowanych musiał szukać swoich ruchomości. Erwin udał się tam jeden z pierwszych. W ogromnym pokoju zastawionym przeróżnemi kuframi, ujrzał swoją walizkę mocno poturbowaną, związaną sznurami.

Na wierzchu znajdowała się metalowa tabliczka z napisem:

„Erwin von Mersdorf, St. Louis". Nie było zatem kwestyi najmniejszej, okazawszy paszport Erwin wrócił natychmiast do swojej własności. Jeżeli nawet brakuje trochę rzeczy, trudno się temu dziwić; ocaliwszy pieniądze i papiery, młody człowiek nie wiele dbał o resztę. Odesłał kufer do hotelu, w którym znalazł schronienie, a sam poszedł w stronę pogorzeliska, zkąd właśnie usuwano gruzy i przepędził tam parę godzin w towarzystwie kapitana, z którym spotkał się w drodze.

Po spóźnionym obiedzie wróciwszy do mieszkania, Erwin zajął się uporządkowaniem ruchomości. W kufrze panował straszny nieład, brakowało kilku książek i parę sztuk bielizny, lecz w zamian za ten ubytek, znalazł grubą książkę w ponsowej oprawie z safianu, mocno uszkodzoną i pomiętą. Widocznie rzucono ją przez okno, gdyż okładka była naderwaną, kartki pobrudzone i podarte, kto wie nawet czy nie brakowało połowy. Upadła pewno na kufer i włożono ją potem, sądząc, że tam jej miejsce.

Nie była to książka drukowana, lecz pisana śmiałym czytelnym charakterem, napróżno jednak młody człowiek odgadnąć się silił, czy kreśliła je energiczna dłoń mężczyzny, czyli też wprawne kobiece paluszki. Zaczął przeglądać pojedyńcze kartki, układać we właściwym porządku, o ile to okazało się możliwem i nareszcie przyszedł do wniosku, że ma przed sobą oderwane fragmenty dziennika.

Napróżno szukał podpisu imienia lub nazwiska, któryby mógł mu dać konieczne objaśnienie, nareszcie postanowił książkę przeczytać, a może wówczas łatwiej będzie odgadnąć do kogo należy i zwrócić jak najprędzej.

W razie gdyby oddał książkę właścicielowi hotelu, zaniesionoby ją do policyi, kto wie, może tam niejeden chciałby ją czytać i szperanoby bez miłosierdzia w tajnikach cudzej duszy.

Może osoba, która pisała te kartki, myśli swe i uczucia radaby ukryć przed całym światem, by nie okazać ludziom swej chwilowej niemocy, która zazwyczaj dyktuje bardzo smutne słowa. Może byłoby lepiej rzucić dziennik, podarty już i niekompletny na pastwę ognia, któregouniknął wczoraj i uszanować tajemnicę osoby nieznanej.

Mimowolnie wzrok jego błądził po kartkach i prawie instynktowo nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, młody człowiek czytał coraz dalej.

— Bo i cóż to szkodzi?—powtarzał w duchu.— Nie wiem i prawdopodobnie nigdy nie będę wiedział, kto to przebolał i przecierpiał, nikt nie stanie przedemną z uśmiechem tryumfu lub wstydem na czole. Przeczytam, potem zniszczę i... zapomnę.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

# KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

**L. S. W.**

(Dokończenie.)

Gdy tak rozmawiali, otwarły się drzwi komnaty i wszedł rycerz okazałej postawy, niemłody już i ogorzały, z sumiastym szpakowatym wąsem, którego wyraz twarzy nie miał w sobie nic groźnego ani marsowego, przeciwnie, twarz to była jeszcze niepospolicie piękna, a w dużych szarych oczach malowała się jakaś szlachetność i pociągająca odrazu dobrotliwość.

Rycerz zostawił w sieni szablę i skórę lamparcią którą był okryty i pozostał w lekkiej zbroi pancernej. Wszedł posuwistym krokiem, kłaniając się niezgrabnie.

Samuel i Władysław pozostali przy oknie, odwróciwszy się do przybysza. Siedząca przy kominku starościna zwróciła na gościa ciekawe spojrzenie.

— Jestem Ludwik Poniatowski, towarzysz pancerny, przywożę zwło... chcę powiedzieć pana starostę Łańcuckiego, cokolwiek rannego, rzekł krótko.

Starościna z synem wybiegli wnet do sieni, ażeby wskazać drogę ludziom, którzy właśnie wnosili wydobyte z sań nosze.

Pan Samuel pozostał z gościem, który jakoś nie kwapił się do rannego.

— Gdzieżeś to waszmość, odezwał się, przydybał rannego starostę i jak to się stało?

— Pan starosta, odparł rycerz, nie jest ranny, ale martwy, bo jeszcze wczoraj zrana zabił go Opaliński, napadłszy na dom jego brata w Tarnowie.

— Czy być może! wykrzyknął Samuel.

— Niestety, mówił Poniatowski, prawda to niewątpliwa. Jak się to stało, dokładnie sam nie wiem, bom przy tem obecny nie był. Wracam bowiem z dalekich krajów, z wojenki, gdyż i żołdu już nie dostawałem i rana w nodze dolega. Służyłem pod znakami pana Chodkiewicza, później pod hetmanem Żółkiewskim, a dostawszy abszyt, wracałem do domu, w Przemyskie, gdzie mieszka moja siostra, jeżeli żyje jeszcze. Owóż tedy wczora po południu, wyjeżdżając z Tarnowa drogą ku Przemyslowi, dogoniłem te oto sanie, a ludzie pana Adama Stadnickiego, którzy im towarzyszyli, powiedzieli mi, że wiozą do Przemyśla zwłoki pana Stanisława Stadnickiego, starosty Łańcuckiego, którego świeżo zgładził z tego świata pan Opaliński, starosta Leżajski. Przyłączyłem się więc do orszaku, a że dawniej kiedyś znałem, chociaż zdaleka, panią starościnę, chętnie więc wziąłem na siebie obowiązek eskortowania zkłok i przyszłem tu, aby zdać sprawę ze smutnego wypadku. Ludzie, z którymi przybyłem, opowiedzą dokładniej, jeżeli wiedzą co więcej.

Pan Samuel słuchał w milczeniu. Po chwili westchnął.

— Niezbadane są wyroki bozkie, rzekł. Dziękuję waszmości w imieniu ciotki za uczynek chrześciański i proszę, abyś raczył spocząć nieco w naszym domu, bo może zechce być na pogrzebie. Jestem Samuel Stadnicki, synowiec zabitego starosty.

Poniatowski skłonił się i serdecznie uścisnął wyciągniętą ku sobie dłoń Samuela.

— Czy i pan Adam, stryj mój, także zabity? zapytał po chwili.

— Słyszałem, że pan Adam żyw i cały, uciekł z domu i ukrywa się gdzieś przed Opalińskim, który zresztą na niego bynajmniej nie czyhał, odrzekł rycerz pancerny.

— Wspominałeś waść, panie bracie, rzekł po chwili pan Samuel, żeś znał dawniej panią starościnę?

— Tak jest, odpowiedział Poniatowski, bardzo dawno... Widywałem niegdyś pannę Annę, gdy była jeszcze na dworze królowej, przyjaźniłem się z nieszczęśliwym Zbigniewem Osolińskim, który dla niej zginął, no i... uwielbiałem ją trochę, z daleka, dodał z westchnieniem.

— Chodźmy, jeźli wola, do zwłok starosty, odezwał się po chwili pan Samuel. Unikałem przez lat tyle żywego, ale teraz mogę spojrzeć na umarłego.

Udali się do sypialni starosty, gdzie na ubogiem i nizkiem łożu, pokrytem skórami łosiowemi, leżało jego ciało. Twarz była zsiniała i straszliwa, rzadkie siwe włosy nie pokrywały łysiny, na czole i policzkach głębokie zmarszczki i bruzdy wyżłobiły nietyle lata, niezbyt jeszcze podeszłe, co życie burzliwe i gwałtowne namiętności. Na szyi i piersiach krwawe ślady świadczyły o licznych ranach, zadanych szablami i spisami kozackiemi. Przy łożu klęczała modląc się, wdowa. Nie zaznała ona szczęścia w trzydziestoletniem prawie pożyciu z mężem, ale w owych czasach przywiązanie do małżonka, jakimkolwiek był, stanowiło niemal obowiązek. Wiele też znaczyło przyzwyczajenie, wspomnienie pierwszego uczucia i ta okoliczność, że starosta był ojcem jej syna, głową rodziny.

Mniej gwałtowne postępowanie Stadnickiego w ostatnich latach dawało, jak widzieliśmy, słabą nadzieję jego żonie, że przecie upamięta się może choć na starość i powróci do życia spokojnego... Ostatnia ta nadzieja zawiodła i oto starosta legł pod ciosami zabójców, zanim zdążył upamiętać się i poprawić...

Tak, nie było już wątpliwości: Stanisław Stadnicki, starosta łańcucki, zwany Krwawym Dyabłem, nie żył. Tak marnie zginął najstarszy ze znakomitego rodu.

Młody syn siedział w kącie, spoglądając ponuro na zwłoki ojca. Zapewne rozmyślał z goryczą, jak długo ciążyć będą na nim wspomnienia żywota ojcowskiego i czy kiedykolwiek potrafi zmyć plamy, któremi tenże okrył ród Stadnickich...

Niespodziewana ta katastrofa powstrzymała, oczywiście, odjazd Stadnickich do obozu królewskiego. Zajęto się pogrzebem, który był cichy i bez udziału duchowieństwa, gdyż zmarły był kalwinem. Oprócz rodziny, na pogrzeb zjechał tylko Herburt, który nawet ułożył napis grobowy dla zmarłego. Poniatowski wielką był pomocą rodzinie zmarłego w jej kłopotach i zyskał sobie szczerą przyjaźń wszystkich.

Starościna przypomniała sobie, że widywała go niegdyś w towarzystwie Ossolińskiego.

W kilka tygodni po pogrzebie, pan Samuel z Władysławem, trwając przy pierwotnym zamiarze, ruszyli do boku królewskiego. Starościc pragnął zaskarżyć osobiście przed królem Opalińskiego za zamordowanie ojca, Starościna usunęła się do klasztoru panien Bernardynek a Ludwik Poniatowski ruszył na wieś do siostry. W rok później wrócił do Przemyśla, rana mu się zgoiła i niebawem w starym dworze Stadnickich odbyło się jego wesele z owdowiałą starościną, która zgodziła się oddać mu rękę, ażeby choć już w latach podeszłych mieć obok siebie prawdziwego przyjaciela, obrońcę i podporę. Na weselu znajdowali się także pan Samuel z żoną i młody Władysław, którzy, po zdobyciu Smoleńska wrócili do kraju.

Czy ów Ludwik Poniatowski był przodkiem późniejszego ostatniego króla Polski Stanisława Augusta — niewiadomo; zdaje się wszelako, że wtedy po raz pierwszy wystąpiło w dziejach naszych to nazwisko.

Za zabójstwo starosty ani wdowa ani syn nie uzyskali żadnego zadośćuczynienia, chociaż kołatali długo do króla i sejmów. Opaliński zaklinał się, że winien tu był przypadek, że starosta zginął mimo jego wiedzy i woli i usprawiedliwienie się swoje podał do akt grodzkich w Przemyślu. Król zesłał Heronima Ossolińskiego, ale gdy Opalińscy podali mu obszerny memoryał o gwałtach Stadnickiego, nikt zas z ziemian nie poparł skargi jego rodziny, lecz owszem wszyscy świadczyli przeciwko Krwawemu Dyabłowi, sprawa ostatecznie upadła.

Spółcześni przyjęli obojętnie zgon tego wichrzyciela, a nawet cieszyli się może, iż z jego śmiercią skończyła się przecie wojna domowa. Wkrótce i starosta Leżajski przeniósł się do lepszego świata.

KONIEC.

---

# WYSTAWA HYGIENICZNA

## W WARSZAWIE.

(Dalszy ciąg.)

Przyrządy do gimnastyki, uznanej w ostatnich czasach nie tylko za hygieniczny sposób rozwijania sił fizycznych młodzieży, ale nawet jako środek leczniczy, wystawili pp. Olszewski i Majewski znani właściciele zakładów gimnastycznych w Warszawie.

Pierwszy dał drabinę rozsuwaną, dającą się zastosować do poziomu, pionu i skośnego kierunku, przyrząd ulepszony pod względem zastosowania, drugi przedstawił przyrządy do gimnastyki hygienicznej.

Musimy z żalem opuścić już „dom szkolny". Pominęliśmy w nim niejedno, ale nie z naszej winy. Sprawozdanie ma granice z któremi liczyć się musi, a ponieważ na wystawie jest jeszcze wiele przedmiotów godnych uwagi, przeto musimy w odpowiedni sposób liczyć się z miejscem.

Przejdziemy do działu, który ciekawym będzie dla pań, jako gospodyń domu.

Co my jadamy? co pijamy? czem oddychamy? Oto są pytania na które odpowiedź mogłaby odebrać człowiekowi na całe życie apetyt. Na szczęście dla ludzkości spekulacya nie objęła jeszcze w swe posiadanie wszystkich produktów, a chemia robiąca z każdym rokiem coraz szybsze postępy, bez miłosierdzia zdziera maski z trucicieli i oszustów, którzy dla zysku rujnują zdrowie swych bliźnich.

Już dzisiaj we wszystkich większych miastach, ustanowiono ścisły nadzór i kontrolę nad sprzedawanemi na targach artykułami żywności, zaprowadzono pracownie chemiczno rozbiorowe i w ogóle zwrócono uwagę na tę niezmierną doniosłości kwestyę.

Na wystawie hygienicznej, przedmioty mające związek z kwestyą hygieny pokarmów, mieszczą się w „pawilonie żelaznym".

Obejrzyjmy je porządkiem.

Pp. doktorowie Leon Nencki i Nussbaum, zajęli się „chemią żywienia i przedstawili tablice wykazujące główne składniki ciała ludzkiego, jakoteż wykazy ile normalnie potrzebują pożywienia ludzie zdrowi rozmaitej płci i wieku, oraz ile go potrzeba dla chorych.

Do wykazów dołączona jest broszura i instrukcya zawierająca szczegółowe objaśnienia.

Ponieważ jest to przedmiot specyalny, wymagający do dokładnego zrozumienia pewnych wiadomości z zakresu chemii, przeto nie zatrzymujemy się nad nim dłużej, przejdziemy natomiast do oddziału barona Stanisława Lessera, który pierwszy w naszym kraju zaczął traktować przemysł mleczarski ze stanowiska naukowego.

Jak ważną rolę w dziale produktów spożywczych gra mleko o tem nie mamy potrzeby się rozwodzić; jak dalece produkt ten ulega zafałszowaniom wie każda warszawska gosposia. Do niedawna byliśmy (mówimy naturalnie o Warszawie) na łasce pachciarzy, kolonistów i włościanek z okolic podmiejskich, obecnie zaś zaczęto przedmiot ten nieco racyonalniej traktować. Założono w blizkości Warszawy kilka wielkich obór i ostatecznie dziś, chociaż za drogie stosunkowo pieniądze, można jednak dostać wyborowego mleka.

Znaczna jest pod tym względem zasługa barona St. Lessera, który poświęciwszy się przedmiotowi specyalnie, nauczył i naucza jak mleczarstwo traktowane jest zagranicą, jakie znakomite zyski przynosi producentom i jaki pożytek dla zdrowia konsumentów.

W oddziale barona Lessera widzimy: całkowite urządzenie mleczarni centryfugalnej szwedzkiego systemu de Lawala, Centryfugę duńską Burmeistra i Waina w modelu i w rysunku, niemiecką W. Lefelotta, w konstrukcyi i rysunku, kiernie do masła rozmaitych systemów uznanych za najlepsze, wygniatacze do masła, aparaty do analizy mleka, statki i przyrządy używane w racyonalnem mleczarstwie i przy wyrobie serów. Plany urządzeń mleczarni. Rachunkowość mleczarska oraz zbiór najnowszych dzieł o mleczarstwie traktujących.

Tu praktyka uwzględnia najnowsze zdobycze nauki, chemia przychodzi w pomoc gospodarstwu a mleko i wszystkie przetwory nabiałowe, pochodzące z wzorowo urządzonych mleczarni, są wyborne w smaku, bezwzględnie czyste i pozbawione tych drobniutkich, gołem okiem niewidzialnych żyjątek, które dostawszy się do organizmu ludzkiego, rujnują go, wnosząc weń pierwiastek suchot i innych chorób zaraźliwych.

Gosposie nasze nabywając mleko na potrzeby domowe, powinny przedewszystkiem wiedzieć zkąd ono pochodzi. Lepiej zapłacić parę groszy drożej, a mieć pewność, że produkt jest czysty, zdrowy

i niezafałszowany. Na oszczędności bowiem w tym kierunku zarabia tylko lekarz i apteka.

Herbata, kawa i czekolada, są to najbardziej upowszechnione napoje, a jednak w wielu sklepach sprzedają herbatę, w której jest wszystko prócz herbaty, kawę w której nie ma zupełnie kawy i czekoladę bez śladów kakao.

P. Alfons Bukowski przedstawił cztery podstawy, w których przedstawione są w rurach szklanych składniki chemiczne herbaty, kawy surowej i prażonej, oraz kakao; 16 gatunków herbaty (z których pięć zafałszowanej). Szypułki kwiatowe herbaty. Okazy „Maty" zwanej zieloną herbatą zdrowia.

Pięć gatunków kawy, z których dwa zafałszowane. Dwa gatunki kakao. Olej kakaowy surowy i oczyszczony, barwniki najczęściej używane do farbowania herbaty i kawy. Tablicę przedstawiającą nazwy surogatów kawy.

Wogóle przedmioty wystawione przez p. Bukowskiego są zebrane pracowicie i systematycznie a składniki chemiczne kawy, herbaty i kakao umieszczone w cylindrach szklanych odsłaniają nawet przed oczami profana pożywną wartość tych roślin.

Kwestyą mięsa zajął się profesor Żórawski, wystawił w płynie konserwującym preparaty tkanki mięsnej, łącznej, tłuszczowej, włóknistej, chrząstek i kości. Graficzne przedstawienie strawności składowych części mięsa, Tablice podziału wołu na różne gatunki mięsa, według zwyczaju przyjętego w Londynie, Paryżu, Warszawie i Petersburgu. (W każdem z tych miast są pewne różnice).

Najciekawsze (chociaż pod względem estetycznym nie zbyt ponętne) są okazy mięsa szkodliwego dla zdrowia i tak mięso z wągrami, wągier pod mikroskopem, soliter człowieka pochodzący właśnie z wągra, wątroba z motylicą, płuca z gruźlicą (czyli z suchotami).

Te wszystkie okazy, przedstawiające widocznie namacalne niemal okropne skutki wynikające ze spożywania niezdrowego mięsa, świadczą najwymowniej jak nieodzownym jest dozór nad zabijaniem bydła i sprzedażą mięsa.

W wielkich miastach dozór taki istnieje i w znacznym stopniu zapobiega złemu, w prowincyonalnych jednak miasteczkach mieszkańcy pod tym względem pozostawieni są absolutnie na łasce i niełasce rzeźników.

(*Dokończenie nastąpi.*)

---

## Z KRAINY PIĘKNA.

### „ZGON ZYGMUNTA AUGUSTA"

i

### „PIEŚŃ".

Dwa najnowsze obrazy Matejki.

---

Każda praca Matejki, posiada wyjątkowy przywilej elektryzowania i pociągania miłośników piękna. Podnieceni też jeszcze wrażeniem, jakie wywarły na nas stare płótna szkoły flamandzkiej i włoskiej, nagromadzone na wystawie starożytności, olśnieni dziełami Rubensa, Rembrandta, Teniersa, Greuzea, i innych czarodziei pędzla, zaciekawieni entuzyastycznemi sprawozdaniami pism krakowskich, spieszyliśmy z niecierpliwością do salonu Krywulta, który po Rochgrosscie, dał nam naszego narodowego poetę pędzla.

Trud został tym razem nagrodzony, jak wszystkie bowiem historyczne utwory Matejki, „Zgon Zygmunta-Augusta" niepospolite wywiera wrażenie. Mniejszy znacznie od ostatnich jego obrazów, dosięgający zaledwie jednej trzeciej rozmiaru „Joanny d'Arc", posiada wszystkie zalety mistrzowskiego układu i wykonania, bez wad perspektywicznych rażących w „Grünwaldzie" naprzykład. W bogatej komnacie królewskiej, na łożu zdobnem w godła monarsze, a przysłoniętem z góry spływającemi i rozchylonemi w tej chwili fałdami baldachimu, dogorywa Zygmunt-August. Drobne, wychudzone rysy jego, noszą obok piętna zbliżającej się śmierci, cień gnębiącego smutku; siną pokryte bladością, zdają się mówić, iż człowiek to, który dużo cierpiał, że korona jego nie z ponęt świata była uwita. A umiał snać dobrym być panem, ukryty bowiem przed jego wzrokiem, a najbliżej widza stojący dworzanin, stoi jak posąg boleści. Postać to najsympatyczniejsza i najsilniejsze z całego obrazu czyniąca wrażenie. Zdaje się, że mąż o długiej siwiejącej brodzie, płaczący nad śmiercią pana, poruszy się lada chwilę, by rozegnać obraz ohydy roztaczający się przed okiem umierającego.

I zaiste, słusznie by uczynił. Grupa bowiem umieszczona na prost śmiertelnego królewskiego łoża, musi najwyższym przejmować wstrętem.

Na pierwszym jej planie stoi chciwa i pyszna Giżanka, a wyprostowana wydaje snać rozkazy rabunku, bo oto pacholę pochylone nad skrzynią wyjmuje z niej kosztowności, przyczem część ich nieznacznie do własnej chowa kieszeni. Giżanka kradnie królewskiego kochanka, on kradnie nawzajem Giżankę; pisarz zaś kreślący pod nadzorem jej akt jakiś, uprawni zapewne ten rabunek, wymożony przemocą podpisem umierającego.

Równocześnie, jakby dla kontrastu, w drzwiach staje biskup w pontyfikalnych szatach ze św. wiatykiem w ręku, a zarówno sługa kościoła, jak chłopiec dający znak dzwonkiem, iż Bóg się zbliża, stają jak wryci, wobec tego niecnego bezwstydu.

Taką jest główna treść niemego, a niemniej przejmującego dramatu. Materye, aksamity, klejnoty, szczegóły i akcesorya, wykonane zostały z właściwem Matejce wirtuozostwem. Ogólna harmonia kolorytu, zlewa się w pełen powagi majestat, wśród którego nie rażą nawet nadużywane gdzieindziej żółte i szkarłatne barwy. Przeciwnie, wszystko jednoczy się tu w całość podniosłą, osoby zaś poruszają się swobodnie, nie krępowane brakiem miejsca, ani przestrzeni. Jeżeli wszakże szczegóły wykonania zachwycić mogą, to w zamian dramat psychiczny, któregośmy przyszli szukać, słabsze czyni wrażenie. Nacisk, z jakim pisma krakowskie mówiły o wyrazie zgrozy, odbitym w rysach kapłana, który spotyka się u łoża konającego z ohydną sceną rabunku, zupełnie okazuje się mylnym, biskup bowiem nie mierzy okiem surowym Giżanki, nie nakazuje jej wzrokiem wymownym, aby nie kalała miejsc tych obecnością swą, a poprostu patrzy przed siebie, w przestrzeń, czy w inną nawet stronę. Giżanka zaś, przysłoniwszy twarz z lekka ręką, żadnego również nie zdradza uczucia.

Starcie więc dwóch tych, tak sprzecznych żywiołów, niczem się nie zdradza, a dramat wewnętrzny nie wyraz twarzy działających w nim osób, augrupowanie ich, wypowiada głównie.

Wobec tego, całość traci na sile ekspressyi, najwymowniejszymi zaś, stają się sam konający i ów dworzanin z głęboką boleścią o wezgłowie oparty. Szkodą iż portret Barbary nie został tak zawieszony, aby umierający obejmując wejrzeniem czystą jej postać, tem lepiej zaznaczył różnicę, jaka istniała między nieodżałowaną małżonką, a niegodną jej następczynią.

Drugi obraz Matejki, sięga w rzadko przez niego uprawianą dziedzinę fantazyi. Piękna postać kobiety, z aureolą nad czołem i skrzydłami u ramion, wznosi się wśród obłoków błękitu, a na imię jej „Pieśń". Wznosi się? Nie, nie wznosi, bo widzimy biust jej tylko i górną część skrzydeł szarych. Dlaczego tak ciemną nadano im barwę? Może pomyślisz czytelniku, że to pieśń pessymistyczna, o modnym smutno zrozpaczonym kierunku? Ale broń Boże, to czerstwa dziewica, przepraszam, ta czerstwa dziewczynka tak musi być zdrowa na duchu i ciele, iż żaden chorobliwie smętny objaw nie znalazłby w niej zwolenniczki, a tem mniej przedstawicielki. Jestto widocznie „Pieśń" życia codziennego, pieśń rzeczywistości i dlatego szare obrała sobie skrzydła, dlatego tak masywną sprawiła aureolę, aby jej się w długiej przez świat wędrówce nie wytarła, nie rozprysła czasem. Już to co prawda, gdyby ów ciężki nimbus opadł przypadkiem na śliczną jej główkę, mógłby jej siłą swą potężnego nabić guza.

Nie, stanowczo wielki malarz naszej przeszłości, zbyt jest realnym, by nadzmysłowe tworzyć postacie. Jego eteryczne, nadziemskie kreacye, zamiast ducha i poezyi, zdradzają przedewszystkiem zdrową krew i silne muskuły.

Dlaczego jednak obraz ten nie znajduje się na wystawie Towarzystwa, jest to tajemnica, której odsłonić nie umiemy. Czyżby interes prywatny więcej pana Matejkę obchodził jak dobro Towarzystwa?

*An. Krz.*

---

## KORESPONDENCYA Z PARYŻA

### ZE ZGLISZCZÓW OPERY KOMICZNEJ.

PRZEZ

*Sewerynę Duchińską.*

---

Wczoraj Paryż przedstawiał przerażający obraz. Cały plac przed katedrą Notre Dame, zapełniały karawany w liczbie dwudziestu dwóch. Tyle trumien stało w kościele na dwudziestu dwu katafalkach, otoczonych jarzącem światłem. Wszystkie trumny pokrywał jedwabny czarny całun z białym w pośrodku krzyżem; ta tylko zachodziła różnica, że kiedy jedne nikły pod stosami bukietów i koron, na innych nie było nawet drobnego kwiatka. W tych ostatnich spoczywały niewiadomo czyje zwłoki, niektóre spalone na węgiel. Rozdzierał serca widok takiego opuszczenia. Wzruszeni tem krewni i przyjaciele znanych ofiar, pozwolili zdjąć z ich trumien po jednym

wieńcu a położyć je na tych, których ręka przyjazna ostatnim nie uczciła darem.

Ogromny kościół, całkiem był napełniony, bez biletu nie wpuszczano nikogo. Orkiestra zgorzałej opery, wykonała Requiem Mozarta i marsz pogrzebowy Szopena, artyści odśpiewali Miserere. Po nabożeństwie kapłan odczytał pasterski list arcybiskupa Paryzkiego, a w nim znane, a tak często zapominane wyrazy: „Czuwajcie i módlcie się, nie wiecie bowiem dnia ani godziny!"

Wynoszono trumny długim szeregiem i dwadzieścia dwa karawany, zasypane wieńcami kwiatów, pociągnęły podwójnym rzędem ku cmentarzowi Pere la Chaise, w pośród niezliczonego tłumu. Dwaj ministrowie Goblet i Berthelot, przemawiali nad otwartemi grobami, poczem spuszczono trumny w doły już pokopane i w mgnieniu oka, wyrosło z ziemi dwadzieścia dwie mogiły i nad każdą rozpostarł krzyż ramiona.

Oprócz zbiorowego pogrzebu, wyprawionego kosztem rządowym, wiele odbyło się innych w rozmaitych dzielnicach miasta, liczba ofiar wyniosła bowiem około dziewięćdziesiąt, oprócz dwustu rannych, których śmierć jeszcze zdziesiątkuje.

Ważniejsze dzienniki otworzyły subskrypcye, datki sypią się ze wszystkich stron, na ręce samego „Figara", w chwili gdy to piszemy, nadesłano 70 tysięcy franków. Większe sumy płyną wprost do dyrekcyi, dla artystów bez chleba i sierot bez opieki.

Czerwiec jak wiadomo jest dla Paryżan drugim karnawałem, nierównie świetniejszym od styczniowego. Wystawy obrazów, rzeźb, kwiatów, koni, psów, drobiu, narzędzi gospodarczych i t. d., ściągają codziennie krocie osób. Do tych wszystkich przybyła jeszcze w tym roku wystawa, pokazująca historyczny rozwój dróg żelaznych, w ciągu ubiegłych lat pięćdziesięciu, odkąd zaprowadzone zostały.

Dodajmy do tego kongresy naukowe, a nakoniec wielkie wyścigi konne, z konkursowem premium 100,000 franków. Na te uroczystości przybyło tysiące osób z prowincyi, a nawet z obcych krajów, tak z Anglii jak z Niemiec.

Każdemu z tych przybyszów, uśmiechała się nadzieja wytchnienia i miłej rozrywki, a iluż z nich spotkała tu śmierć lub żałoba!

Ileż to, w tym złowrogim dniu 25 Maja, rozegrało się krwawych dramatów, w owym teatrze noszącym jakby na urągowisko, nazwę opery komicznej.

Wyliczyć tych wszystkie z nich nie podobna, poprzestańmy na kilku. Tu oto, trzy młode angielki panny Knowls, z krewną czy przyjaciołką przybywają z Londynu. Zwiedziły wszystko co było do widzenia, mają opuścić Paryż, ale spostrzegają na afiszu tytuł opery „Mignon". Zaciekawione arcydziełem dwóch mistrzów, Goetego i kompozytora Thomas, postanawiają zatrzymać się dzień jeden.

Wczoraj cztery ich trumny popłynęły do Londynu.

Tu znów milionowy bankier z Wiednia Dessauer, przyjeżdża z żoną do Paryża. Zagorzały meloman, nosi jeszcze na ramieniu wyciśniętą pieczęć pogorzeli wiedeńskiego Ring teatru. Interpellacya w Izbie, grożąca takąż klęską operze komicznej, nie przeraża go wcale, pragnie napieścić ucho cudną melodyą, pośpiesza z żoną na operę; wczoraj kolonia austryacka odprowadziła dwie ich trumny na dworzec kolei strasburskiej. Podobny orszak, powiódł na kolej północną trumny dwóch Berlińczyków.

Na jednym z cmentarzy protestanckich, cała kolonia skandynawska pogrzebała zwłoki młodej Norwegianki, panny Reginy Skirldrup. Utalentowana panienka parę lat temu przybyła do Paryża, dla wykształcenia się w muzyce. Marzyła o tryumfach i wieńcach! przyszłe tryumfy uleciały z dymem pożaru, wieńce posypały się, lecz niestety... na trumnę!

Takich scen wyliczyć niepodobna. Ileż to jęków rozległo się o ściany trupiarni paryzkiej, gdzie składano spalone albo zduszone ciała! Jakaż to rozpacz, matek i ojców, krewnych i przyjaciół, kiedy jakiś pierścionek lub medalik, jakiś niedopalony szczątek odzieży, niepewność ich zamienił w przerażającą prawdę.

Nieszczęśliwy ojciec jeden, po stracie żony i córki wpadł w obłąkanie zmysłów. Widziano go w kościele, gdy blady jak widmo, pożerał oczyma trumny nieznanych na proch spalonych ofiar, sam nie wiedząc do której przyczepić się myślą i żalem.

Ale obok tych straszliwych obrazów, mamy tu inne, dziwnie pocieszające. Najwznioślejszy przykład ofiary dała tu kobieta, pani Thomas, kostyumierka zgorzałego teatru. Pracownia jej była na najwyższem piętrze, najbardziej ze wszystkich zagrożonym. Pod kierunkiem jej pracowało dwanaście młodych szwaczek. Ucieczka przez wązkie, drewniane schody całkiem niepodobna, ale oto pompiery przystawiają drabiny do okien. Pani Thomas nie traci głowy, czyni jak kapitan okrętu gdy fale pochłaniają statek.

Chwyta w krzepkie ramiona robotnice pół umarłe ze strachu, rzuca je kolejno w objęcia pompierom.

Gdy wszystkie ocaliła, ostatnia zstępuje po szczeblach. Dzielna ta kobieta otrzyma zaszczytny medal, jaki Towarzystwo Ratunku rozdaje za bohaterskie czyny.

Wszystkie teatra zapowiedziały widowiska na rzecz ofiar. Stowarzyszenia dobroczynne urządzają koncerta, loterye, sprzedaże fantów i t. p.

Niektóre dzienniki wspomniały nawet o balach, inne powstały na to ze zgrozą: „Precz z biesiadami! zawołał „National", zgliszcza teatru jeszcze buchają dymem. Żałobne wozy krążą między placem opery a trupiarnią, a już z różnych stron głoszą nam uczty na rzecz ofiar. Jakto? kiedy jeszcze trupy nie wydobyte z pod gruzów, kiedy setki zrozpaczonych z trwogą w sercu rozgrzebują zgorzeliska, szukając w nich śladu ojców, matek i dzieci, mówią nam, że Paryż zabiera się do tańca."

Zaprawdę taniec dziś nie na dobie! za kilka dni jednak zobaczymy dopiero, czy głos ten nie będzie głosem wołającego na puszczy!

---

# WIADOMOŚCI

## z pod naszej strzechy i z obczyzny.

---

Projekt założenia resursy dla rzemieślników w Warszawie, od lat już kilkunastu kilka razy podnoszony i zawsze zapadający w głuche milczenie, znów wyciągnięty został z zapomnienia.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, powiada „Słowo" iż zakład podobny mógłby sferom, o których mowa, oddawać wielkie przysługi, budząc w pracującej rzeszy zamiłowanie do książki, gazety i w ogóle przyzwoitej zabawy, a odciągając od szynkowni i bawaryjek, szerzących swój wpływ demoralizujący."

Wszystko to bardzo pięknie wygląda... na papierze, ale w praktyce jest bańką mydlaną łudzącą powabną barwą.

Szynki i bawarye nie szerzą demoralizacyi, jak jej i handle delikatesów nie mnożą, w resursach zaś naszych najmniej gazety są czytane, których i rzemieślnik nie bardzo pożąda, poprzestając zupełnie na jednym z kuryerków i to dorywczo czytanym.

Do założenia projektowanej resursy, namawiają panów pryncypałów warsztatów gawędziarze gazeciarscy... nadaremnie. Dlaczego?

Bo ci czują, że to na nic by się nie zdało, że resursa nie może być narzucona z góry, tylko musi powstać z potrzeby z dołu wypływającej. Po pracy ciężkiej całodniowej, rzemieślnik pragnie odpoczynku i wytchnienia, ale z wielką swobodą tak dla ust pragnących wygadania się, jak i dla ciała niczem nieskrępowanego. W szynku i na bawaryi śmiało tego używa, w resursie będzie onieśmielony zajrzy do niej przez ciekawość ale raz tylko i na tem się skończy. Projekt też założenia resursy zdaje się być jak na teraz zupełnie niepraktycznym.

W jednym z domów przy ulicy Nowolipie, będącego własnością bogatego izraelity, mieszka wdowa obarczona trojgiem dzieci, trudniąca się praniem.

Z powodu choroby, która przeciągnęła się parę tygodni, zaległa ona w opłacie komornego za dwa miesiące.

Dług wynosił zaledwie 12 rs., właściciel domu jednakże użył wszystkich środków prawnych dla wyegzekwowania tej należności, uzyskał wyrok i przed kilku dniami przystąpił do sprzedaży chudoby biednej praczki.

Licytacya doszłaby napewno do skutku, gdyby nie dobry uczynek innych lokatorów, którzy znając uczciwość wdowy, zrobili pomiędzy sobą składkę do wysokości 18 rubli i nietylko dług, ale i za następny miesiąc komorne zapłacili.

Dodajemy, iż w składce tej uczestniczyli przeważnie lokatorzy żydzi, biedni robotnicy i handlarze, którzy oburzeni na gospodarza, swego współwyznawcę, za podobny brak litości, nie szczędzili mu przytem rozmaitych epitetów.

**Z Londynu donoszą:** Dawno już nie było takiego ruchu w świecie artystycznym tutejszym jak w bieżącym, a nigdy od czasu śmierci swego męża nie okazywała się królowa tak często publicznie. Każda panna, czy młoda mężatka, jeżeli pragnie zajmować jakie miejsce w wyższem towarzystwie, powinna zwyczajem tutejszym przed wejściem w „świat" być przedewszystkiem przedstawioną królowej.

Prezentacye te przez matki lub inne osoby mające już wstęp u dworu, odbywają się na przyjęciach zwanych „Drawing Room". Taki „Drawing Room" miał miejsce niedawno, świetniejszy niż kiedykolwiek, bo było na nim 460 pań, których wartość sukien obliczają na 60 do 70 tysięcy funtów, a cenę kwiatów, jakiemi się ozdobiły, na 5 tysięcy. Ile przy tej sposobności weszło do kieszeni złotników, fabrykantów powozów, szewców, ręka-

wiczników, trudno odgadnąć, to jednak pewna, że kupcy londyńscy w tym jubileuszowym roku zacierają ręce.

Przez jaką ciężką próbę przechodzi taka lady lub miss angielska, udająca się na podobną prezentacyę! Po dniach, a może tygodniach spędzonych na wybieraniu, obstalowaniu, przymierzaniu różnych przyborów toalety, po prawdopodobnie bezsennej nocy i naprędce spożytem śniadaniu, ładna lub brzydka, pewnie ładna; tłusta czy chuda, pewnie chuda, córa Albionu o 8-ej rano zasiada do toalety.

Matka, ciotki, siostry, życzliwe lub zazdrosne przyjaciołki, bracia, a nawet niedyskretny jaki kuzynek, który niespodziewanie się zjawił, wszyscy patrzą, radzą, krytykują, robią uwagi, że jest z czego tracić głowę.

Już w pół do jedenastej, powóz zajechał, czas się wybierać, by nie być ostatnią, bo dużo będzie osób.

Zatopiona w morzu tiulu, gazy, koronek, kwiatów, piękna Edith czy Gwendolina już siedzi w powozie, przynajmniej udaje, że siedzi, obok niej matka ledwo dyszy, lecz będzie miała czas wypocząć, bo pojazdów całe mile, ledwo krok za krokiem jechać można.

Chwała Bogu, czas cudny, ale ulice zapełnione gawiedzią, która zagląda do powozu, robi swoje spostrzeżenia.

Wreszcie wpół do trzeciej, jest się u drzwi pałacu Buckingham, jest się w salonach.

O trzeciej, puktualna jak zwykle, wchodzi królowa.

Tłok, gorąco, depczą suknię. W pół do czwartej! Kolej na miss, którejśmy towarzyszyli. Mama się kłania, córka się kłania, królowa przemawia słówko lub też skinie tylko głową, prezentacya skończona.

Do powozu, do domu. Tu czeka herbata i zastęp znajomych. Znów inspekcya toalety, zapytania, krytyka. Wyprawa skończona. Odtąd należy już do arystokracyi.

**Sto tysięcy złodziei.** Były naczelnik straży publicznego bezpieczeństwa w Paryżu, pan Macé, w najnowszem dziele swojem p. t. „Un joli monde", o którem już wspominaliśmy, opisuje szczegółowo świat złodziei w stolicy nad Sekwaną, a zwłaszcza złodziei sklepowych.

Wielkie magazyny mód, których jest obecnie do 30-tu, służą za miejsce schadzek większym i mniejszym rzezimieszkom, a głównem polem ich działania są miesięczne wystawy w tychże magazynach urządzane.

Według najnowszych wykazów, w ciągu ostatnich lat pięciu codziennie wykonywano do 150 kradzieży w owych 30-tu większych magazynach, a doświadczenie nauczyło, że tak policyanci jak i prywatni dozorcy, dla pilnowania złodziei nając̨i, nie zdołali czwartej części złodziei i złodziejek złapać.

Dla uniknięcia wszelkich pomyłek, każda osoba przytrzymywaną dopiero bywa przy drugiej kradzieży; złodzieje sklepowi rzadko kiedy zadawalniają się jedną kradzieżą przy tej samej okazyi.

Do sądu pozywani bywają teraz już tylko złodzieje i złodziejki z profesyi; przypadkowe złodziejki sklepowe rzadko kiedy bywają aresztowane.

Liczba osób uprawiających kradzież jest tak wielka, że cyfra 100,000 złodziei na departament Sekwany jest za małą.

**Że nienawiść francuzka Niemców**, jest w wielu wypadkach wyzyskiwana sztucznie przez niegodziwców w mętnej wodzie szukających połowu, to fakta jasno to potwierdzają. Niedawno donieśliśmy o awanturze jaką wyprawiono przy przedstawieniu Lohengryna Wagnera, tak że dalsze jego występy musiano z wielkim żalem wstrzymać. Z tej nędznej burdy ulicznej wyłączyliśmy całą inteligencyą a odpowiedzialność za nią zrzuciliśmy na motłoch uliczny, wszędzie znajdujący się i za pieniądz robiący wszystko co każą. Że Paryż właściwy oburzony był tym wypadkiem i nic nie miał wspólnego z awanturnikami, najlepiej dowodzi bankiet na cześć dyrektora opery pana Lamoureux dany przez artystów i dziennikarzy w Paryżu, który powiódł się świetnie.

Sto pięćdziesiąt osób, a między niemi Massenet, Reyer, Delibes i t. d. wzięło udział w biesiadzie, na początku której wręczono panu Lamoureux adres dziękczynny przez tysiąc osób przeszło podpisany.

Toastom na cześć sztuki, Wagnera i p. Lamoureux nie było końca a pan Bauer, przemówiwszy w imieniu prasy, ofiarował panu Lamoureux posąg z bronzu, przedstawiający pożegnania Lohengrina.

**Nową wyspę** odkryto znowu na Spokojnym Oceanie, w pobliżu południowego wybrzeża Nowej Gwinei. Nadano jej nazwę Allison.

Nowa wyspa ma długości około półtory mili, wznosi się na 30 do 50 metrów nad poziom morza i jest pokryta lasami.

Pomimo, że mapy Oceanu Spokojnego przedstawiają ogromną ilość wysepek, wydających się w niewielkiej od siebie odległości, jednak okręta mogą całemi tygodniami szybować, nie napotkawszy ani jednej.

Mieszkańcy większej części tych wysp, nie widzieli jeszcze dotąd nigdy twarzy białego człowieka, zresztą eksploracyjne podróże w okolice Nowej Gwinei są bardzo rzadkie, jak tego dowiodła pewna ekspedycya do wysp Woodlark, podczas której znaleziono osadę kupców, w miejscu, gdzie się wcale nie spodziewano, że koloniści jacy znajdować się mogą.

**Wachlarz królewski.** We Florencyi, w jednym z salonów pałacu Fenzi, wystawiony jest od kilku dni na widok publiczny wachlarz, który ofiarowany będzie przez damy florenckie królowej Małgorzacie.

Wachlarz ten z białego atłasu oprawny jest w drzewo hebanowe ze złotemi ozdobami, na atłasie zaś widnieje wspaniałe malowidło, alegorya, będąca dziełem znanego malarza, Elia Volpi. Śród poetycznego zachodzącem słońcem oświetlonego krajobrazu, znajduje się grupa kobiet, której punktem środkowym jest królowa Małgorzata, w idealnych nawpół greckich szatach; królowę otaczają urocze postacie kobiece przedstawiające miłosierdzie, nadzieję, wiarę, religię i zadumane życie. Dalej w głębi siedm innych kobiecych postaci wyobraża: mądrość, trzy gracye, skromność, kobietę zamężną i geniusza Włoch, trzymającego kwiecisty wieniec ponad głową królowej.

Malowidło to ma być prawdziwem arcydziełem, a koszta tego iście królewskiego wachlarza wynoszą 4,000 lirów.

**Z okazyi jubileuszu Królowej Wiktoryi,** jedno z muzeów prywatnych w Londynie, wystawi cały zbiór przedmiotów, które były własnością jubilatki w jej dzieciństwie.

Zbiór ten obejmuje, między innemi: bieliznę dziecinną, pierwsze pończochy i buciki, jakie ongi przywdziała królowa, różne zabawki, resztki ulubionej lalki i wreszcie kawałek placka weselnego, który ofiarowano królowej w dzień jej ślubu z księciem Albertem.

**Fanatyzm patryotyczny.** Za czasów rzeczypospolitej w Anglii, pod przewodnictwem Kromwela; przesada do tego stopnia była w przekonaniach republikanów posunięta, że z pacierza wyrzucono wyrażenie: *przyjdź królestwo twoje*, a kazano w tem miejscu wymawiać: *przyjdź rzeczpospolita twoja.*

* * *

**Niedyskretna papuga.** W Dublinie rozstrzygany będzie niezadługo ciekawy proces. Pan H. G. majętny lecz niemłody już, bo przeszło 50-cioletni przemysłowiec, zaręczył się z młodą i urodziwą panną. Pewnego razu przybywszy do narzeczonej nie zastał lokaja w przedpokoju i zapukał sam do drzwi salonu. Z wewnątrz odezwał się głos papugi: „*Come in, come in!*" (proszę wejść), pan G. otworzył drzwi i ujrzał narzeczoną swoją w objęciach jakiegoś młodzieńca. Naturalnie, że sędziwy adonis zerwał zaręczyny, panna wszakże zaskarżyła go o złamanie przyrzeczenia małżeństwa, a winowajczyni, niedyskretna papuga, w dalszym ciągu z najspokojniejszem sumieniem wykrzykuje ciągle na drążku swoim: „*Come in!*"

* * *

**Z paryzkiej cyganeryi literackiej.** Powieściopisarz Paweł Duplessis — drukował pewnego razu powieść w piśmie *Patrie.* Zaniósłszy 40-ty z kolei feljeton do drukarni, wstąpił do restauracyi gdzie spotkał się z przyjacielem swoim, Vernetem, który zdawał się czekać na niego.

— Mój drogi — zawołał skoro go tylko ujrzał wchodzącego — wujaszek mój czyta z wielkiem zajęciem twoją nową powieść; powiedz mi, czy bohaterka umiera w chwili gdy ją napadają jej wrogowie?

— Tak jest — odparł Duplessis.

— Nie mam szczęścia! — zawołał Vernet wzdychając głęboko i uderzając pięścią w stół.

— A cóż ma moja bohaterka wspólnego z twojemi sprawami?

— Założyłem się z wujem, że będzie żyła, bo mi się zdawało, że jest ci do dalszej akcyi niezbędną.

— O ile się założyłeś?

— O dwieście franków.

— Tam do licha!

Duplessis spojrzał na zegarek.

— Dziewiąta — zawołał! To jeszcze mego rękopismu nie złożyli.

Zawołał dorożkę, podał Vernet'owi rękę i rzekł uroczyście. „Uratuję życie bohaterce!"

* * *

**Dowcip Paganiniego.** Znakomity skrzypek wskoczył pewnego razu we Florencyi do dorożki, aby się udać do teatru. Odległość nie była duża, ale godzina bardzo spóźniona, a tłum słuchaczy czekał już niecierpliwie na artystę, który zapowiedział, że słynną modlitwę z Mojżesza Rossiniego odegra na jednej strunie. Paganini zapytał woźnicy ile mu się należy.

— Jak dla pana — odparł człowiek, który poznał skrzypka — jazda kosztować będzie 10 fr.

— Jakto 10 fr.? żartujecie chyba.

— Bynajmniej, przecież pan taką samą cenę bierze za jedno miejsce na swym koncercie grając na jednej strunie.

— Dobrze, — rzekł Paganini sucho — zapłacę wam 10 franków jeżeli mnie powieziecie na jednem kole.

* * *

**Cenna rada.** Pewna urodziwa mieszczanka Vivis, posiadająca cały rój wielbicieli, znajdowała się niedawno z czterema z nich na pokładzie statku. Znudzona i zniecierpliwiona nareszcie hołdami, nie mogąc zdecydować się na wybor, zwróciła się do kapitana statku po radę. Po krótkim namyśle kapitan poradził piękności w kłopocie, iżby rzuciła się do wody i rękę swoją oddała temu, który ją z fal wydobędzie. Piękna panna usłuchała rady, lecz cóż, kiedy zaledwie wskoczyła do wody, trzech wielbicieli rzuciło się za nią i na pokład wniosło. Nowy kłopot, nowe zasięganie rady u kapitana.

Wyjdź pani tedy za tego — zdecydował marynarz — który nie pospieszył pani na pomoc, ze wszystkich czterech bowiem, jest on najmniej głupim.

* * *

**Kiedy człowiek jest pijany?** Na zapytanie to, traktowane w jednem z pism amerykańskich ze stanowiska naukowego w długim i przepełnionym cytatami artykule, odpowiedział inny dziennik, znacznie krócej: „Od stworzenia świata po większej części o szarej godzinie, a w niedziele i święta już daleko wcześniej“.

* * *

**Rozmowa hygieniczna narzeczonych tegoczesnych.**

— Pamiętasz moja droga, ten wieczór w ogrodowej altanie podczas którego serca nasze jednem ożywione uczuciem...

— Oh! pamiętam, było chłodno, zaziębiłam się i dostałam kataru.

— Oh! dziękuję za przypomnienie, bo dziś także jakoś chłodno, wezmę więc na siebie ciepłe palto...

## NOWE KSIĄŻKI.

### Nadesłane do Redakcyi.

Wydane nakładem księgarni Wojciecha Cithurusa.

**Nieśmiertelność człowieka, jako postulat filozoficzny przyrodoznawstwa.** Studyum Władysława Michała Dębickiego.

**Katalog książek i nut** Wojciecha Cithurusa.

## ZAWIADOMIENIA.

# ZAKŁAD NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

## Natalii Smólskiej,

**przy ulicy Ś-o Krzyzkiej Nr 19.**

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących, dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

*Dla Modystek* wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

*Dla gospodyń wiejskich:* Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, Wiadomości o drobiu i pszczołach.

*Dla poświęcających się kupiectwu:* Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy, na żądanie, w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

### Czas trwania i sposób opłaty są następujące:

**Nauka fachowa w grupach, opłata kwartalna po rs. 45 z góry.**

*Modniarstwo:* krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa, kwartałów 2 (miesięcy 6).

*Gospodarstwo wiejskie:* Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

*Kupiectwo:* Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6).

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

**Nauka pojedyńczych przedmiotów, opłata miesięczna rs. 5 z góry.**

| | | |
|---|---|---|
| Krój sukien | miesięcy | 3 |
| „ bielizny | „ | 2 |
| Stroje | „ | 3 |
| Rękawicznictwo | „ | 6 |
| Introligatorstwo | „ | 6 |
| Buchalterya | „ | 6 |
| Kwiaty sztuczne | „ | 6 |
| Drzeworytnictwo | „ | 12 |
| Zegarmistrzowstwo | „ | 12 |
| Heliominiatury | „ | 2 |
| Retuszerya | „ | 6 |
| Koszykarstwo | „ | 6 |
| Rysunki zastosowane do rzemiosł | „ | 6 |
| Ekonomia domowa | „ | 3 |
| Koronkarstwo | „ | 3 |
| Jedwabnictwo | „ | 6 |

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
„ „ Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

### PRZYJACIEŁA DZIECI

**numer 24 wyszedł z druku i zawiera:**

Pogadanki z Nauczycielem. — Wschód słońca (wiersz). — Niespodzianka (komedyjka). — Dziewczynka z orderem. — Zamek i ogród w Saint-Cloud pod Paryżem (drzew.) — Kozy (z drzewor.) Z sierocej doli. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Wicuś zwany Wisusem (z drzew.) Brzydka Franciszka (wiersz) — Historya o Ziuni i Michasiu. — Kolonie letnie. — Odpowiedzi. Zadania i łamigłówki.

☞ **Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z krojami.**

## OD REDAKCYI.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Warunki są w nagłówku pierwszej kolumny.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Мая 1887 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego.** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

**Dodatek.**